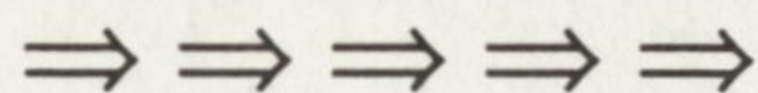


DYSKUSJA



Szczęśliwi wyrobnicy przy wysiadywaniu cudzych jaj*

*„Nie mamy dość siły, aby całkowicie iść
za swoim rozumem”.*

La Rochfoucauld – „Maximes”

Tłum. Tadeusz Żeleński (Boy)

*„Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą;
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą,
Choć wiem, że słowa te nie zadrzą długo
W sercu – gdzie nie trwa myśl nawet godziny,
Mówię – bom smutny – i sam pełen winy.”*

Juliusz Słowacki – „Grób Agamemnona”

„Czudakow: Jak to – nie mamy pieniędzy?”

*Nie rozumiem, w takim razie, po co chwalić się
i mówić...*

*Zwłaszcza zaś odmawiać, kiedy cudzoziemcy
robią poważne propozycje...*

.....

Optymistienko: ...Powiązać i uzgadniać to można...

Każdą kwestię można powiązać i uzgodnić”.

Włodzimierz Majakowski – „Łaźnia”

Tłum. Artur Sandauer

1. Nauka na zamówienie, czyli jak wolny najmita staje się szczęśliwym wyrobnikiem

Oto do krajów Europy Środkowowschodniej zjeżdżają całe kohorty wysłanników różnych instytucji z krajów bogatych. Deklarują gotowość pomocy biedniejszym, a w rzeczywistości korzystają u siebie z ulg podatkowych i zyskują przywileje mecenasów nauki, tytuły rzeczników postępu bądź orędowników potrzebujących. Dużą część pieniędzy, które oferują, zabierają sami wysłannicy. Znaczną część środków wydają, mieszkając w drogich hotelach w kraju okresowego pobytu, bo jak inaczej potwierdzić swą wiarygodność i wypłacalność wobec grona onieśmielonych.

*Pamiętnik z podróży naukowej do Poznania (1995).

Nazwijmy tych onieśmielonych i oczekujących bardziej poetycko. To jeszcze wolni najmici. Wkrótce staną się wyrobnikami, może nawet szczęśliwymi wyrobnikami. Gdy się to już dzieje, ten lub ów wysłannik ułatwi krótki staż zagraniczny temu lub owemu wyrobnikowi, częściej jego kierownikowi, zdarza się nawet, że całej grupie wyrobników. Jako rezydent sam badań nie prowadzi. Jest tylko wytrwałym konsultantem, dbałym o terminy i oszczędne wydawanie środków przeznaczonych na jego zadanie. Wreszcie wraca do siebie jako redaktor i współautor zamówionego dzieła.

Ileż to starszych i młodszych spośród nas gotowych jest uczestniczyć w takich opracowaniach, które z przymrużeniem oka zamawia się jako badania naukowe, a które najczęściej nie są nimi, choćby ze względu na niejasno sformułowane cele i krótki termin wykonania. Najczęściej są to tylko kolejne przeróbki fragmentów tej lub innej rozprawy doktorskiej lub habilitacyjnej, albo wynik pośpiesznego przetworzenia materiałów zebranych przed laty dla zgoła innych celów. Najważniejsze wszak, to wymyślić możliwie atrakcyjny i nośny tytuł dla takiego zbioru opracowań. Aby wszystko toczyło się elegancko, trzeba jeszcze „uprosić” owego wysłannika, by zechciał być współautorem tego lub owego artykułu, by wziął na siebie trud adiustacji językowej, formalną redakcję lub współredakcję, słowem: całość doprowadzić do najlepszych „światowych” wzorów. Pieniądze na wydanie dzieła drukiem są duże, jak na nasze warunki. Wszystko więc toczy się sprawnie. Za pośpiech zarabiają dodatkowo tłumacz i drukarnia.

Zadowolone są wszystkie strony: nasi autorzy, bo mają nieco dodatkowego grosza i publikację, o której się mówi, że pójdzie w świat, a macierzysty zakład, bo zyskał niespodziewanie dowód współpracy międzynarodowej. Korzyści odniósł też ów wysłannik, bo u siebie wylegitymuje się nowym dowodem aktywności. Może więc liczyć na zlecenie kolejnego zadania. Jeśli do tomu dostały się jakieś oryginalne myśli lub cenniejsze materiały, a znajdzie w tym własny interes, wnet już właściwy fragment, odpowiednio przetworzony, opublikuje pod własnym nazwiskiem w renomowanym czasopiśmie. Do licznych udanych inicjatyw kooperacyjnych i wydawniczych doda sobie „oryginalne” doniesienie naukowe.

O finansowych stronach takiej twórczości wspomniano na początku. Moralne aspekty owej współpracy są niższe niż potępiany niegdyś wyzysk kolonialny, bo nie powstają z niej nawet autentyczne wartości, tylko wątpliwe kariery osobiste.

2. Zawsze gotowi do wysiadywania

Dawniej uważano, że o znalezieniu sponsora, wydawcy i czytelnika dzieła przesądza unizona dedykacja składana wysoko postawionej osobistości, np. papieżowi, cesarzowi, królowi. Przejściowo przydatne były nawet dedykacje

składane republice, prezydentowi, partii lub jej sekretarzowi, generałom, biskupom, współcześnie: dyrektorom banków, prezesom fundacji, itp.

Jeśli komuś nieśmiałość lub brak zdecydowania nie pozwalały na ową dedykację, mógł próbować zwrócić na siebie uwagę dodając odpowiednie motto. Najlepiej, gdy był to cytat z pism lub przemówienia przywódcy. Ostatni taki przypadek, a był to cytat z przemówienia Edwarda Gierka na wstępie książki w popularnej serii przyrodniczej, pochodzi u nas z roku 1980 (!). Ten sam autor w roku 1993 opatruje swoje inne dzieło fragmentem z homilii Jana Pawła II.

Historia uczy, że w obliczu trafnej dedykacji, rzadziej trafnie dobranego motta, nawet cenzura kościelna lub państwowa były łagodniejsze wobec dzieła i jego twórcy.

Nasze czasy znamionuje jednak zwrot ku randze tytułu. To on ma nie tylko informować o treści dzieła, ale i orientacji ideowej autora, a ściślej: o tym w jakim stopniu jest on w „kursie dzieła”. Ten rozpowszechniony w Polsce rusycyzm to nic innego, jak deklaracja nadziei lub wdzięczności: skąd autor (zespół autorów) oczekuje pieniędzy albo kto wsparł wcześniej jego pracę.

W dobie komputerowej wymaga się oczywiście, aby tytuł był zwięzły, np. by nie przekraczał liczby 8 słów znaczących... Tylko redaktorzy z przedwojennymi nawykami upierają się jeszcze, by tytuł przystawał do treści dzieła, nowsi zaś doradzają tylko, by dał się łatwo przetłumaczyć na język angielski.

Najważniejsze jest jednak, jak uczy praktyka, aby w tytule znalazło się słowo–wytrych, słowo–przesłanie, słowo, które budzi nieodwołalnie dwa lub trzy skojarzenia: że autor i wydawca są w kursie dzieła, że spełniają ważną misję społeczną lub cywilizacyjną, że uczestniczą w ważnym przedsięwzięciu międzynarodowym.

Owemu skojarzeniu lub przesłaniu w ekologii najlepiej służyły i służą hasła, które w intencji obudzenia świadomości rządów i narodów, wymyślają co 3–4 lata wielkie wszechświatowe konferencje. A więc były (tu wyliczę tylko najważniejsze z tych, które zapamiętałem): „*produkcja biologiczna a zaspokojenie potrzeb energetycznych i żywnościowych ludzkości*”, „*zagrożone zasoby przyrody*”, „*światowa strategia ochrony przyrody*”, „*ochrona różnorodności biologicznej*”, „*zmiany globalne*”, „*monitoring*”, „*zrównoważony rozwój*”, „*trwale gospodarowanie lasem*”, „*nowa polityka leśna*”, itd.

Otóż w naszej nauce od momentu, kiedy to w skromnym zakresie umożliwiono nam udział w międzynarodowej współpracy naukowej, każdorazowo wszystkie programy musiały być opatrzone odpowiednią etykietą czyli sloganem. W swoim czasie nawet podstawowe studia nad ojczystą florą i fauną nazwać trzeba było „*studiami nad zasobami flory i fauny*”. Słowo: *zasoby* czyli *resources*, *ressources*, *resursy* jednakowo bowiem brzmiało w najważniejszych językach Wschodu i

Zachodu. Dawało więc nadzieję, że oto jeszcze jedną grupą dóbr władać będzie państwo. Teraz te same, ciągle nie dokończone badania, próbuje się opatrzyć hasłem „ochrona zagrożonej różnorodności biologicznej”. Ale to nie tylko zmiana etykiety lub formuły prowadzącej do skąpej kasy państwowej lub bogatych kas licznych fundacji. Ani państwo, ani fundacje nie są przecież zbyt skore do wydawania pieniędzy na autentyczne badania naukowe.

Owa zależność od właściwego przesłania to przede wszystkim dowód bezradności i narastającego konformizmu środowiska naukowego: bezradności wobec nieustannego braku środków na badania i konformizmu czyli zgody na „wpisanie” się w krąg spraw modnych, akceptowanych przez sponsorów i rządzących, bez względu na zainteresowania uczonych, rzeczywiste trendy w nauce, na związek merytoryczny i emocjonalny własnych badań z aktualnie obowiązującym przesłaniem. Poza skutkami moralnymi tego konformizmu należy sobie uświadomić zaniedbania poznawcze. Zarzucając lub odkładając na później oryginalne projekty badań, a uczestnicząc jedynie w pośpiesznym wykonywaniu przydzielonych nam zadań, wysiadujemy tylko cudze jaja, wiedząc, że nic nowego się z nich nie wylęgnie. Nie towarzyszy temu nawet wiara, że nasze brzydkie kaczątko zmieni się z czasem we wspaniałego łabędzia.

Uzasadnianie celowości danych badań i starań o środki finansowe obiegowymi hasłami stało się tak powszechne, że aż wywołuje ciąg pytań:

Czy to miłość do przyrody tak nas zaślepia, że zapominamy co jest najistotniejszym celem poznania naukowego? Czy ratowanie przyrody na podstawie pośpiesznej diagnozy to nie znachorstwo? Czy to nasza bierność umysłowa skłania nas do korzystania z łatwych haseł? Czy to lenistwo i bieda czynią z nas wyrobników, skłonnych do wysiadywania cudzych jaj?

Trudno zaprzeczyć, że każde z wyliczonych haseł dałoby się wypełnić głęboką i aktualną wiedzą o przedmiocie. Posunęłoby też naprzód nie tylko naszą wiedzę o przyrodzie i społeczeństwie, ale i pozwoliłoby na znalezienie wielu praktycznych środków służących zarówno ratowaniu ostatnich ości dzikiej przyrody, jak i kształtowaniu środowiska odpowiednio do potrzeb współczesnego człowieka. Stało się tak tylko raz: w przypadku Międzynarodowego Programu Biologicznego. We wszystkich następnych programach warunki i czas dany na zebranie i opracowanie potrzebnych informacji, zarówno przez instytucje międzynarodowe jak i krajowe, były ograniczone i świadczą o niezrozumieniu istoty i trybu badań naukowych jako jedyne go sposobu gromadzenia potrzebnej wiedzy.

Ktoś nie znający bliżej sprawy powie: *przecież ciągle badacie, więc wystarczy zebrać i opracować dane już zgromadzone*. Wobec takiego stwierdzenia można nawet dostać środki na założenie komputerowej bazy danych. Nie można jednak tą drogą uzupełnić niezliczonych i wstydlivych braków w znajomości podstawowych

elementów przyrody i środowiska naszego kraju. Żadne bowiem hasła nie były nigdy na tyle „złotodajne”, by umożliwić uzupełnienie elementarnej wiedzy o przyrodzie całego kraju. Niekompletność danych na wszelki temat, to zresztą nie tylko bezpośredni skutek wiecznie niedostatecznych środków na badania podstawowe. To także ubogie lub niekompletne biblioteki, to niszczone zbiory, archiwa, zaniedbane muzea z trudem nadążające za potrzebami nauki i kultury. Wobec tych niedostatków i opóźnień, bardziej „bojowe dyscypliny” etykietowały słabsze siostry określeniami „bez przyszłości”, „staroświeckie”, „przestarzałe”, „nienowoczesne”. Jakoś i w tych „nowoczesnych” i „przyszłościowych” dziedzinach też wielkich sukcesów naukowych dopatrzeć się trudno. Widać, że i dla nich też środków zawsze było za mało.

I wreszcie przeszkodą jest zbyt krótki czas, który dają sponsorzy nauki na wykonanie odpowiednich zadań, jeśli już projekty przejdą przez sito komisji i urzędów. Nawet jeśli przebieg badań zapowiada odkrywcze wyniki, trzeba je rychło przerwać lub zamknąć, bo owe 3–4 lata, to najdłuższy okres, w ciągu którego nawet najlepszy projekt może być finansowany. Po tym terminie i tak nikt nie zagwarantuje możliwości ich kontynuacji. Nie przyjmuje się do wiadomości, że naturalne cykle badawcze, nie mówiąc już o przygotowaniu wyników do publikacji, trwają z reguły o wiele dłużej. Odpowiedzią na utyskiwanie zainteresowanych jest rada: „*to zmień tytuł (czyli przesłanie) i wystąp ponownie o środki*”.

Najlepiej więc przyjąć nowe cudze jajo (niekoniecznie świeże) i ogłosić, że pragnie się je wysiadywać. Udaje się to jednak tak, jak w przypadku każdego wysiadywania, bardzo krótko. Środki są bowiem ograniczone, a ważne instytucje międzynarodowe przygotowują dla nas nowe jaja.

Okazuje się, że nasz los nie jest odosobniony. Oto pod hasłem zagrożenia i ochrony różnorodności biologicznej większość krajów rozwiniętych i jako tako rozwijających się (np. Polska) uczyniły wszystko, by wydać „czerwone księgi zagrożonych gatunków roślin i zwierząt”, a niektóre kraje także „czerwone księgi zagrożonych biotopów”. Dzieła te, z natury swej kompilacyjne, wydawane są nierzadko luksusowo i wyposażone w atrakcyjne pomoce edukacyjne (kolorowe tablice, mapy, dyskietki, filmy wideo).

Wszystkie te dzieła jednak mają mniejsze lub większe luki informacyjne, a ich odpowiedzialni autorzy i redaktorzy wskazują na niezbędność podjęcia lub kontynuacji odpowiednich badań podstawowych. Jedno z niedawno wydanych dzieł wyposażone jest w motto „*lepiej poznać by skuteczniej chronić*”. Istotnie skuteczność ochrony zależy od znajomości aktualnego stanu rzeczy, ale tylko w połowie. To mają zapewnić owe czerwone księgi. Pozostaje jeszcze druga połowa, która składa się z dwu ćwiartek. Pierwsza ćwiartka to śledzenie dalszych losów wybranych lokalnych populacji i stanowisk zagrożonych roślin i zwierząt, a więc

wieloletnie studia ekologiczne połączone z eksperymentowaniem, czyli poszukiwaniem skutecznych w danych warunkach środków zaradczych i zastępczych wobec postępującej eksterminacji przyrody. Druga to ich wytrwałe stosowanie i doskonalenie w tzw. czynnej ochronie. I okazuje się, że na tę drugą połowę działań ani u nas, ani w bogatszych krajach nikt nie chce zadeklarować środków finansowych i techniczno-organizacyjnych na okres choćby najbliższych 5–10 lat. A zadanie to jest tylko jednym z mało kosztownym przedsięwzięć, które należy podjąć wobec zagrożeń cywilizacyjnych. Zapewne dotychczasowe doświadczenie uczy sponsorów, że za 3–4 lata pojawi się nowe hasło, nowy slogan, nowa deklaracja i trzeba być przygotowanym na nie z pełną kasą.

Badaczom zaś wypada oczekiwać w pełnej gotowości na ową chwilę, aby wiedzieć kiedy i na ile lat odłożyć w kącie własne zainteresowania naukowe, albo jak je ubrać w „cudze piórka” lub lepiej: schować do cudzego jaja.

Czy to nie dziwne, że dla naszego pozornego uczestnictwa we współpracy międzynarodowej, a w istocie tylko w wysiadywaniu cudzych jaj, wystarczyły przez całe pięćdziesięciolecie kolejne slogany i deklaracje, byleśmy tylko zdołali z nich we właściwym czasie uczynić choćby skromny użytek.

Może teraz należy zebrać owe znajdy i bękarty!

Zauważcie, proszę, jak uczenie i obiecująco brzmi tytuł, w którym za radą Optymistienki z „Łaźni” Majakowskiego, *powiązaliśmy i uzgodniliśmy* prawie wszystko, czym żyliśmy przez ostatnie pół wieku:

MONITORING BIORÓŻNORODNOŚCI ZAGROŻONYCH ZASOBÓW PRZYRODY W DOBIE ZMIAN GLOBALNYCH I ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU

Kto zaprzeczy, że nie znajdą się pieniądze na tak sformułowany projekt badawczy, jeśli stanie za nim autorytet wnioskodawcy i recenzentów oraz przeświadczenie sponsora o swojej niezwykłej misji? Kto ustrzeże mnie przed apopleksją, jeśli w najbliższym roku przyjęty zostanie do sfinansowania tak przedstawiony projekt? Coraz trudniej jest mi bowiem rozstrzygnąć, czy żyję wśród bohaterów Majakowskiego czy Gombrowicza.

3. Sponsorom nauki i moim adwersarzom do przemyślenia

Skoro tak chętnie zmierzamy do celu pod wspólnym hasłem, można by pomyśleć, że cenimy sobie wysoko wszelkie formy współdziałania i współpracy. Ale to złudzenie, gdy w nauce instynkt stadny bierze się za gotowość wspólnego działania. Razem możemy zdążyć tylko do zguby lub w celu pokonania urojonego przeciwnika. Przecież naszym największym przeciwnikiem jest ten, kto myśli inaczej niż my.

Niechaj miłośnicy cudzych wzorów nie zarzucają mi partykularyzmu, gdy oto występuję przeciw zaspokajaniu potrzeb nauki pod nieustannie zmieniającym się hasłem. **Upominam się o rzeczywisty współdziałanie w międzynarodowych badaniach naukowych, o partnerstwo a nie wyrobnictwo.**

To nie tylko staropolskie upodobania do naśladownictwa innych, ale i upokorząca pozycja nauki i naukowców w naszym kraju czyni z nas „*pawia i papugę narodów*”. Jeszcze trochę, a liczne nasze przypadki złożą się na kolejny rozdział dziejów głupoty w Polsce.

Rozważmy jeszcze raz, czy bardziej odpowiada nam w świecie rola współtwórców czy podwykonawców? kreatorów czy piastunek cudzych bękartów?

O rolę współtwórcy trzeba zabiegać, oferując świeże idee i własne środki; podwykonawcę się kupuje i, jak kwokę, sadza na cudzych jajach.

Janusz Bogdan Faliński (Białowieża)